

Trzeba wiedzieć, w co się nie wierzy

Autor: Jadwiga Grzybowska



Gdy miałam 17 lat, koleżanka podarowała mi Biblię. Nie, nie rozmawiałyśmy o Bogu, chciała po prostu zrobić mi przyjemność. Znałyśmy się dobrze. Wiedziała, że lubię czytać i każdą wolną chwilę potrafię zamienić na czas spędzony z książką. Dzisiaj myślę, że był to rodzaj uzależnienia, ucieczki od bolesnej rzeczywistości. Wiedziała, że nie należę do żadnego kościoła, ale moim pragnieniem jest poznanie Biblii, bo jak mówiłam: trzeba wiedzieć, w co się nie wierzy.

Rozpoczęłam czytanie. Tego się nie spodziewałam! Przeczytałam od pierwszej księgi do ostatniej. No nie! O co tu chodzi! Nic nie rozumiem! Bóg Starego Testamentu przeraził mnie, taki surowy i wymagający. Taki daleki. Niedostępny. Zapalczywy. Gniewny. A Jezus? Zawsze wierzyłam, że dwa tysiące lat temu istniał ktoś taki, kto nauczał ludzi pewnych zasad, ale nie znalazł zrozumienia i za to Go ukrzyżowano. Byłam pewna, że jest to postać historyczna. Ujął mnie ten dziwny człowiek. Nauczał, uzdrawiał, karmił tysiące ludzi, wskrzeszał z martwych, zdradził Go przyjaciel. Wiedział, że tak będzie, wiedział, jak straszną śmiercią umrze, a mimo to był posłuszny Ojcu. Ojcu? Jakiemu Ojcu? Jaki Ojciec posyła syna na tak okrutną śmierć? I ja mam czcić takiego Boga! Nie godzę się na to! To jakieś legendy, w które racjonalnie myślący człowiek nie może wierzyć. A jednak było coś, co mnie zastanowiło.

W XIX wieku Robert Koch prowadził badania nad wpływem bakterii na rozwój chorób, swoją teorię potwierdził, za co ostatecznie w 1905 roku otrzymał Nagrodę Nobla. Bóg Izraelitom, gdy wyszli z niewoli egipskiej, dał wyraźne, szczegółowe przepisy dotyczące higieny. Było to konieczne w tamtym klimacie, podczas wędrówki po pustyni, by zachować naród od wszelkich epidemii. A przecież wpływ bakterii na rozwój chorób odkryto pod koniec XIX wieku? Ciekawe...

Duże wrażenie zrobił na mnie fragment Psalmu 19: *Niebiosa opowiadają chwałę Boga, a firmament głosi dzieło rąk jego, dzień dniowi przekazuje wieść, a noc nocy podaje wiadomość. Nie jest to mowa, nie są to słowa, nie słychać ich głosu... A jednak po całej ziemi rozbrzmiewa ich dźwięk i do krańców świata dochodzą ich słowa...* Jest u schyłku dnia taka szczególna pora, cicha godzina, kiedy ptaki przestają śpiewać, cichnie wiatr i wszystko w przyrodzie wydaje się czegoś nasłuchiwać. Bardzo lubię tę porę dnia. *Nie jest to mowa, nie są to słowa, nie słychać ich głosu... A jednak po całej ziemi rozbrzmiewa ich dźwięk i do krańców świata dochodzą ich słowa...* Dawid pięć tysięcy lat temu doświadczał tego samego co ja i opisał to w psalmie chwalącym Boga! Było się nad czym zastanowić.

Wiedziałam, że nie pojmuję tego, co jest zapisane w Piśmie Świętym i potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi zrozumieć. W moim otoczeniu nie było nikogo takiego. Pewnego dnia zapukali do naszych drzwi świadkowie Jehowy, zaproponowali studium biblijne. Bardzo się ucieszyłam, ale moja mama, gdy się o tym dowiedziała, wpadła w gniew. Mowy nie ma, aby pod jej dachem... itp. Dobrze, skoro tak, to trudno. Pod twoim dachem nie. Gdy wyszłam za mąż, opowiedziałam o tym mężowi i gdy pewnego dnia zapukali do naszego mieszkania świadkowie Jehowy, zaprosił ich.

Dwóch – jak mi się wówczas wydawało – starszych panów, jeden od roku w organizacji, pełen gorliwości i zapału, a drugi od dawna służący jako głosiciel, znający Pismo prawie na pamięć. To były niesamowite chwile. Nie zgodziłam się na studiowanie „Strażnicy”, więc poruszyliśmy różne tematy związane z Biblią. Pierwszy raz widziałam ludzi tak oddanych Bogu. Młodszy z nich zrezygnował ze służby w wojsku, gdzie pełnił wysokie, odpowiedzialne stanowisko (był to przełom 1982 i 1983 roku), a drugi był bardzo prostym człowiekiem, posługującym się mową pełną naleciałości regionalnych, ale gdy zaczynał poruszać tematy związane z Pismem Świętym, mówił pięknym, literackim językiem. Można też powiedzieć, że służył nam za podręczną konkordancję – gdy nie potrafiłam znaleźć wersetu, mówiłam tak mniej więcej o czym jest, a on błyskawicznie go odnajdywał.

Usłyszałam od jednego z nich takie słowa: „Jeśli chce pani zrozumieć Biblię, to proszę założyć, że Bóg istnieje”. Nie wiedziałam, czy Bóg istnieje, i po pierwszej lekturze Pisma Świętego raczej wolałam się do tego twierdzenia odnosić z pełną rezerwą, ale uczyniłam takie założenie. Spotykaliśmy się co tydzień i dyskutowaliśmy. Po kilku miesiącach usłyszałam: „Jeśli chce pani pojąć Słowo Boże, to proszę się o to modlić”. Hm... modlić? Dobrze, spróbuję. I w ten sposób zaczęłam modlić się do Boga, w którego istnienie wątpiłam jeszcze pół roku temu. Okazało się, że ON zawsze był przy mnie. Doradzono mi też, abym lekturę zaczęła od Nowego Testamentu. Z ogromną przyjemnością czytałam o tym, jak Jezus uzdrowiał, czynił cuda, nauczał. Starłam się, aby te nauki były wyznacznikiem mojej postawy w życiu, choć wiedziałam, że jeszcze mi daleko do tego, bym „pochowała moich umarłych”, jeszcze pociągały mnie sprawy i doświadczenia, które nie mogły podobać się Bogu. Nie chciałam z nich zrezygnować, ale czytałam, czytałam, czytałam...

Minęło kilka miesięcy, przeprowadziliśmy się z mężem na drugi koniec miasta. Trudno było się spotykać, więc przekazano mi kontakt do pobliskiego zboru świadków Jehowy. Ale to już nie było to. Zaproszono mnie na spotkanie niedzielne. Tam wszyscy studiowali artykuł ze „Strażnicy”, a wyglądało to tak, że na zakończenie zadawano pytania, które autorzy umieścili pod spodem i aby prawidłowo odpowiedzieć, należało tylko odszukać właściwy fragment tekstu. Nie o takie studium biblijne mi chodziło. Gdy o coś pytałam, zawsze słyszałam „Nie teraz, później się tym zajmiemy”. Zaproszono mnie na Pamiątkę (Paschę) – dziwne to było przeżycie, kielich i chleb podawano sobie z rąk do rąk, ale nikt nie pił i nie spożywał. Wszyscy byli niegodni. To było zarezerwowane dla szczególnie wybranych przez Boga. Pamiętam też, że pewnego razu umówiliśmy się na dyskusję o teorii Darwina. Pojawiłam się na spotkaniu nieprzygotowana, więc bardzo przeprosiłam, że nie zapoznałam się dokładnie z tą teorią, i na to usłyszałam, że moi rozmówcy też jej nie znają, ale jest na ten temat artykuł w „Strażnicy”, to go sobie przeczytamy i rozpoczniemy dyskusję. Nie. To nie jest dyskusja. Co to za dyskusja, skoro nie wiemy, o czym mamy dyskutować? To niepoważne. Podziękowałam, przeprosiłam i stwierdziłam, że nie mam „duszy świadka Jehowy”. Nie wiem, o co mi chodzi, wiem jedynie, że to nie to, czego szukam.

Minęło kilka lat, w ciągu których badałam różne systemy filozoficzno-religijne, czytałam książki o New Age, o jodze, hinduizmie, buddyzmie, Koranie. Wszystko to było bardzo ciekawe, ale ciągle czułam, że to nie moja droga. Zainteresowałam się bioterapią, po pierwszych eksperymentach okazało się, że mogę to robić, postanowiłam rozwijać ten dar. Było to fascynujące. Ukończyłam różne kursy, pod wpływem przyjaciół zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie zarejestrować się w Izbie Rzemieślniczej i nie zacząć prowadzić praktyki. Jakiej praktyki? Mimo znajomości różnych technik w dalszym ciągu kładłam dłoń na chorej osobie i modliłam się w duchu: „Panie Boże, zechciej użyć moich rąk do uzdrowienia tej osoby”. Darmo wzięliście, darmo dawajcie. Miałam dobrą pracę, to

wystarczy.

Ciągle poszukiwałam, czułam duchowy głód, którego nie mogłam zaspokoić. Pewnego dnia zobaczyłam plakat. Zapraszał na spotkania motywujące do rzucenia palenia papierosów. Tak poznałam Adwentystów Dnia Siódmego, dzięki tym spotkaniom udało mi się wytrwać bez papierosów aż dziewięć dni, co wcześniej nigdy się nie zdarzyło, i rozpoczęliśmy spotkania biblijne u mnie w domu. Dowiedziałam się, że zbawienie jest Bożym darem dla każdego człowieka, że nie zależy ono od denominacji, ale jest łaską, jaką Bóg okazuje człowiekowi. Nie odnosiłam tego do siebie. Okazuje człowiekowi, ale mnie? Dowiedziałam się również, że moje zainteresowania w dziedzinie psychotroniki nie podobają się Bogu, ale mimo to dalej zajmowałam się tymi sprawami. Miałam jakieś takie wewnętrzne przekonanie, że powinnam poznać te nauki. To było trochę tak, jakbym na przykład zajmowała się przyrodą Australii, choć nigdy tam nie byłam. Gdzieś w głębi siebie wiedziałam, że nie wolno mi przekroczyć granicy między teorią a praktyką.

Zdarzały mi się dziwne sytuacje. Kiedyś pojechałam na kongres psychotroniczny. Wśród prelegentów była starsza pani, która miała szczególny dar jasnowidzenia, potrafiła diagnozować urazy układu kostnego i innych chorób. Na stałe współpracowała z ortopedą, a były to czasy, gdy dostęp do tomografu i usg był tylko dla uprzywilejowanych szpitali. Wielu osobom pomogła. Bardzo przejęta, wysłuchałam jej wystąpienia i chciałam ją poznać, ale nie miałam śmiałości. W czasie przerwy w bardzo zatłoczonym bufecie znalazłam sobie miejsce w kąci i samotnie piłam kawę. Nagle ludzie zaczęli się rozstępować, a ta kobieta zmierzała wprost na mnie. „Co ty tutaj robisz?! To nie jest miejsce dla ciebie!”. Coś tam wybąkałam, a ona powtórzyła: „Ci ludzie i to miejsce nie są dla ciebie. Jestem rozczarowana!” – i poszła dalej, a ja pozostałam z głupią miną. Co o tym myśleć?

Raz koleżanki z pracy wpadły na pomysł, aby udać się do słynnej wróżki. Zapisaliśmy się jednego dnia. Seans trwał chyba godzinę. Wróżka opowiedziała mi całe swoje życie, podarowała książkę autobiograficzną z dedykacją specjalnie dla mnie, a na temat mojego życia nie usłyszałam ani słowa, choć byłam ciekawa przyszłości. To było tak, jakbym była chroniona szklanym ekranem, za który nie mogła się przedostać. Było wiele takich dziwnych sytuacji, ale te dwie najbardziej utkwiły mi w pamięci.

Dalej spotykaliśmy się z adwentystami, bym mogła zrozumieć Biblię. Poświęcono mi wiele czasu i cierpliwości, ale „nie miałam duszy adwentystki”. Mimo zawartej przyjaźni nie czułam, że to moje miejsce, znowu czegoś mi brakowało, ale nie wiedziałam, co to może być. Ja i Bóg – to zupełnie wystarczające, nie muszę wiązać się jakimś kościołem, zdecydowałam. Ciągle zajmowały mnie jakieś drugorzędne szczegółowe tematy, a nie mogłam zrozumieć, co właściwie stało się na krzyżu i jak ogromne ma to znaczenie. Nie rozumiałam, dlaczego Jezus musiał zginąć w tak okrutny sposób.

Pewnego dnia bardzo bolała mnie głowa. Gdy wyszłam z pracy, postanowiłam zrobić sobie spacer, idąc do innego niż zawsze przystanku autobusowego. Zobaczyłam szyld „Księgarnia chrześcijańska”. Młody sprzedawca nawiązał ze mną rozmowę, polecając różne książki, mówił też o swojej wierze. Powiedziałam mu, że dzisiaj zgodzę się z każdym poglądem, bo tak bardzo boli mnie głowa, że nie jestem w stanie myśleć. Kupiłam książki, pożegnałam się i poszłam w stronę przystanku. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że czuję się wspaniale, głowa nie boli, a ja czuję się tak świeżo i lekko, jakbym właśnie wyszła spod prysznic. „Pomodlił się o mnie!” – pomyślałam. Wrócę i podziękuję mu. A jeśli się nie pomodlił? Lepiej przyjdę tu w niedzielę na nabożeństwo.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy po raz pierwszy znalazłam się w tym miejscu na nabożeństwie. Gdy ludzie zaczęli się modlić, omal nie upadłam, tak żarliwa i pełna mocy była to modlitwa! Chciałam tu być, chciałam przebywać wśród ludzi, którzy tak pięknie i gorąco się modlą. Może i moje modlitwy zostaną wysłuchane, może wśród tych ludzi Pan Bóg mnie zauważy? W ten sposób trafiłam do ewangelicznej społeczności wierzących Jezusowi, gdzie mogłam usłyszeć zdrową naukę chrześcijańską i budować się wiarą innych ludzi. Od razu wiedziałam, że to moje miejsce. Zrozumiałam, że zbawienie dotyczy całej ludzkości, a Jezus złożył siebie w ofierze za moje grzechy.

Bardzo chciałam przyjąć chrzest i zawrzeć z Nim przymierze, ale ciągle paliłam papierosy. Nie pomagały dostępne środki, wykorzystałam wszystkie sposoby, aby pozbyć się tego nałogu. Otrzymaliśmy propozycję, abyśmy z mężem, który też palił, pojechali na dni skupienia do Ustronia. Pojechaliśmy, tam modlono się o nas i stał się cud! Mój mąż, który przyznawał się do palenia trzech paczek papierosów dziennie, przestał palić. Kilka godzin później oddałam życie Jezusowi, a on zabrał mój nałóg. Jestem wolna! Dopiero tam, na dniach skupienia organizowanych przez Chrześcijańską Misję „Nowa Nadzieja”, wśród alkoholików, zrozumiałam, czym jest łaska i jak wielka jest miłość Boża.

Wszystko to, o czym opowiedziałam, zdarzyło się na przestrzeni ponad dwudziestu lat. Bóg zawsze stawiał na mojej drodze ludzi, którzy wskazywali na Niego, chronił mnie i prowadził, a mnie wydawało się, że to ja Go szukam. Dzisiaj chcę Mu podziękować za to i błogosławić tych wszystkich ludzi, których użył, bym mogła wzrastać duchowo. Dziękuję też za miejsce mojej pracy i służby: prowadzę księgarnię chrześcijańską. Tak, tak! Tę księgarnię! Często wykorzystuję w tej pracy doświadczenie i wiedzę, jaką zdobyłam, poszukując Tego, który szedł obok mnie, a czasami niósł w ramionach.